

## ROZDZIAŁ 2

### 1

Pora powiedzieć kilka słów o wiosce Ding.

Wioska Ding położona jest na południe od drogi łączącej Kaifeng z miastem powiatowym Wei. Są w niej łącznie trzy ulice. Jedna biegnie ze wschodu na zachód, a dwie z południa na północ. Jedna z tych dwóch to ulica Nowa. Kiedy nie było jeszcze ulicy Nowej, układ zabudowań we wsi miał kształt krzyża, który w chińskim piśmie oznacza liczbę dziesięć. Gdy powstała Nowa, plan zabudowy przyjął kształt piktogramu oznaczającego ziemię.

Po wyjściu od nas dziadek poszedł na chwilę do wujka. Posiedział tam troszkę w markotnym nastroju, po czym wrócił do szkoły. Na południe, w odległości niecałego kilometra, była niegdyś świątynia Guangong, na której terenie mieściła się szkoła. Ołtarz Guan Yu znajdował się w głównej części, sale lekcyjne zaś w bocznym budynku. Mieszkańcy wioski Ding często przychodzili przed ten ołtarz palić kadzidełka, prosząc o pomoc w sprawach finansowych. Było tak przez dziesiątki lat, aż do momentu rozkwitu handlu krwią. Wtedy zapomnieli o świątyni. Przestali wierzyć w Guan Yu, zaczęli wierzyć w krew.

Kiedy zaczęli wierzyć w krew, wybudowali nową szkołę.

A kiedy wybudowali nową szkołę, dziadek wprowadził się do niej.

Działka, na której postawiono szkołę, miała powierzchnię kilkunastu *mu*. Na nieuprawnej ziemi na równinie wzniesiono mur z czerwonej cegły, na wschodnim skraju działki zaś wybudowano dwukondygnacyjny budynek, wprawiono szyby w okna, na drzwiach zawieszono drewniane tabliczki z napisami: „klasa 1 A”, „klasa 2 A”, „klasa 3 A” i tak dalej, na dziedzińcu ustawiono kosz do gry w koszykówkę, a przy głównej bramie umieszczono szyld: „Szkoła Podstawowa w Ding”. I tak oto powstała nowa szkoła. Oprócz dziadka był w szkole jeszcze jeden nauczyciel matematyki i jeden pan od chińskiego. Obaj młodzi, spoza wsi. Jak tylko usłyszeli, że w Ding rozpełtała się epidemia gorączki, przestali przyjeżdżać na lekcje.

Tak, przestali przyjeżdżać.

Nie przyjechaliby za żadne skarby.

Tak oto w szkole pozostał jedynie mój dziadek, na którego barkach spoczywał obowiązek czuwania nad losem drzwi, okien, szyb, stołów, krzeseł i tablic, nad losem wioski Ding i całej trawionej gorączką równiny.

W szkole jeszcze do teraz unosi się siarkowy zapach nowych dachówek i cegieł. W jesienne wieczory jest on nawet intensywniejszy niż na ulicy Nowej. Gdy tylko dziadek czuje ten zapach, od razu robi mu się lżej na sercu, rozpraszają się jego zmartwienia i zaczyna myśleć o wielu rzeczach. Kiedy wrócił, było już po zmierzchu, szkoła spała w objęciach równinnej ciszy, w szemrzącej ciszy niestrudzonych strumyków, otulona nią jak leciutką mgłą. Dziadek usiadł na betonowej podstawie słupka od kosza do gry i z uniesioną głową wpatrywał się

w niebo, pozwalając, by wilgotny jesienny wiatr muskał go po twarzy. Był trochę głodny, w Wei zjadł tylko jeden posiłek. Z głodu czuł jakiś wewnętrzny niepokój. Z tego niepokoju zaś serce miał jakby związane sznurkiem. Każde pociągnięcie za cieniutką linkę powodowało ból, zaś każde uderzenie bólu wstrząsało ramionami dziadka.

Przy takim właśnie wstrząśnięciu dziadkowi po raz kolejny przypomniały się wypadki, które zaszły tamtej wiosny.

Zdarzenia z tamtej wiosny rozpostarły się przed oczyma dziadka jak trawy porastające równinę. Jasne i przejrzyste jak księżycowa poświata.

Przyjrzał się więc dziadek raz jeszcze tym zdarzeniom i zrozumiał wszystko.

Zerwał się wiatr, zakołysały się z szelestem liście. Wśród szelestu zjawiała się owa pamiętna wiosna. Zjawił się też kierownik powiatowego kuratorium oświaty wraz z dwoma innymi lokalnymi urzędnikami, by zainicjować handel krwią. Był to drugi miesiąc kalendarza księżycowego, w całej wiosce unosiło się w powietrzu łagodne wiosenne ciepło i rzeškość. W takiej właśnie pachnącej porze kurator przybył do sołtysa wioski, Li Sanrena, by poinformować, że z góry przyszło rozporządzenie, by zajął się on rozpropagowaniem wśród mieszkańców Ding akcji sprzedaży krwi.

Li Sanren otworzył usta ze zdziwienia.

– Boże, chcecie, żebyśmy sprzedawali krew?

Szczęka mu opadła.

– Mój Boże, jak to tak, żeby kazać ludziom handlować własną krwią?

Li Sanren nie stawił się na zebraniu, nie zamierzał przykładać do tego ręki. Po trzech dniach kurator wrócił do wsi i ponowił wezwanie do organizacji handlu krwią w Ding. Li Sanren tym razem nic nie odpowiedział. Przykucnął tylko na ziemi i zapalił papierosa.

Po kolejnych dwóch tygodniach kurator zjawił się u Li Sanrena raz jeszcze. Nie prosił, nie pytał, nie namawiał do handlu krwią, lecz zwyczajnie pozbawił go stanowiska sołtysa.

Odebrał mu funkcję, którą Li Sanren piastował przez czterdzieści lat.

Zwołał zebranie i tak po prostu ogłosił, że odbiera.

Po tym, co się stało, Li Sanren znów otworzył usta ze zdziwienia, jeszcze długo, długo nie był w stanie wymówić słowa. Na tym samym wiecu kurator sam podjął próbę przekonania mieszkańców do sprzedaży krwi. Zabrawł głos przed całą społecznością wiejską. Mówił o tym, co było do tej pory, co będzie i co ma być, o rozwoju ekonomii opartej na handlu krwią, usiłował pobudzić słuchaczy patriotycznymi hasłami, nawoływaniem do mobilizacji dla ojczyzny, w końcu zrezygnowany zwrócił się do zebranych:

– Słyszeliście, co powiedziałem? Proszę was, proszę was, mieszkańcy wioski Ding, dajcie jakikolwiek znak, że dotarły do was moje słowa. Gadam tu pół dnia, a wy chyba pozostawialiście uszy w domach pod kołdrą!

Gdy tak ogłosił, w oddali rozległo się gdakanie kur, wystraszonych jego krzykami. Wystraszył się też pies leżący dotąd u nóg pana i podniósł przeraźliwy skowyt. Szczekanie psa z kolei przestraszyło właściciela, który zaczął kopać zwierzę po brzuchu, wrzeszcząc:

– Czego się drzesz, co? Wiesz ty, na kogo szczekasz? Stul pysk, natychmiast!

Pies odszedł z podkulonym ogonem, pojękując cichutko.

Po skończonej przemowie kurator oświaty rzucił na stół plik dokumentów i usiadł zrezygnowany. Posiedział chwilę, aż przyszło mu do głowy, żeby wybrać się po pomoc do szkoły, do mojego dziadka.

Mój dziadek nie był nauczycielem. Ale traktowano go jak nauczyciela. Najstarszego z nauczycieli. W dzieciństwie dziadek potrafił recytować „Księgę Trójzgłoskowców”, znał na pamięć także „Księgę Stu Nazwisk”, w dodatku umiał obliczać daty i odczytywać trygramy na podstawie „Wiecznego Kalendarza”, najstarszego z chińskich kalendarzy słonecznych. Po Wyzwoleniu przyszło rozporządzenie od rządu, by w każdej wsi zorganizować szkołkę w celu zwalczania analfabetyzmu. Tak też powstała pierwsza podstawówka w wiosce Ding, wówczas mieszcząca się w świątyni Guan Yu. Tam właśnie zaczął uczyć dziadek. Na początku kazał dzieciom czytać „Księgę Stu Nazwisk”, później nauczył je pisać patykami na piasku fragmenty z „Księgi Trójzgłoskowców”, a jeszcze później przydzielono do szkoły innych nauczycieli, z wykształceniem pedagogicznym, i odtąd uczniowie z wiosek Ding, Liu, Huangshui i Li'er wspólnie opanowywali pod ich okiem formułki „góra, środek, dół, prawo i lewo” oraz „nasza ojczyzna to Chińska Republika Ludowa, jej stolicą jest Pekin”. Albo jeszcze: „Klucz dzikich gęsi odleciał na południe”. Odkąd dziadek przestał prowadzić lekcje, wykonywał w szkole różne drobne prace. Na przykład dzwonił

dzwonkiem. I pilnował własności świątyni, by nikt niczego nie ukradł.

Tak upłynęło mu kilkadziesiąt lat. Nauczyciele w ramach wynagrodzenia dostawali pensje, dziadek zaś kupy ze szkolnych ubikacji. Tym nawozem użyźniał swoje poletko, dzięki czemu jakoś z roku na rok wiązał koniec z końcem. Z roku na rok też ludzie coraz bardziej traktowali go jako nauczyciela, tylko kiedy przychodziło do comiesięcznych wypłat, jakoś nagle przestawał nim być. Gdy jednak zabrakło nauczycieli albo gdy trzeba było kogoś zastąpić i poprowadzić lekcje, zawsze zwracano się do dziadka.

Dziadek nie był nauczycielem. Ale uchodził za nauczyciela. Kiedy kurator oświaty przybył do szkoły, by się z nim zobaczyć, dziadek akurat zamiatał dziedziniec. Dowiedziawszy się, że kurator przyszedł do niego, dziadek poczerwieniał z przejęcia. Rzucił miotłę na ziemię i oszołomiony ruszył w kierunku wejścia do szkoły. Szedł szybkim krokiem. Gdy zobaczył urzędnika stojącego u bram, na twarz wstąpił mu rumieniec podniecenia w kolorze jesiennych liści.

– Panie kuratorze, zapraszam do środka. Lepiej nam się będzie rozmawiało w domu – powiedział na powitanie.

– Nie będę się rozsiadał – odpowiedział kurator. – Profesorze Ding, powiem wprost, w całym powiecie przedstawiciele lokalnych władz udają się na wieś, by inicjować akcję sprzedawania krwi. Kuratorium wytypowało pięćdziesiąt wsi pionierskich, wśród nich znalazła się także wasza wioska. Przyjechałem tutaj, zwołałem wiec, ale nic nie wskórałem. Jak grochem o ścianę.

Dziadek zdziwił się:

– Mój Boże, ale jak to? Handel krwią?

Kurator na to:

– Kuratorium oświaty ma obowiązek zmobilizować pięćdziesiąt wsi, które staną się źródłami krwi. Jeśli pan się tym nie zajmie w Ding, to kto?

Dziadek odpowiedział:

– Boże święty, mobilizować do sprzedaży krwi?

Kurator kontynuował:

– Profesorze Ding, jest pan wykształconym człowiekiem, jak może pan nie rozumieć tak prostego faktu, że krew w ciele, im więcej się jej czerpie, tym obficiej płynie?

Kiedy tak stali, na twarz osłupiałego dziadka wstąpiły barwy surowej zimy na równinie.

Kurator zwrócił się do niego ponownie:

– Profesorze Ding, dzwoni pan szkolnym dzwonkiem, strzeże bram szkoły, ale nie jest pan nauczycielem. Mimo to szkoła kilkakrotnie przyznała panu tytuł wzorowego nauczyciela. Z każdym takim tytułem wiążą się nagrody finansowe. Teraz ja, kurator oświaty, przychodzę do pana z taką maleńką prośbą, a pan nawet tego nie może się podjąć. Czyżby gardził pan kuratorem?

Dziadek stał w bramie szkoły, nic nie mówiąc. W tym nicniemówieniu myślał o rywalizacji między nauczycielem matematyki i nauczycielem chińskiego, z których każdy chciał zostać wybrany wzorowym nauczycielem. Ponieważ żaden nie zamierzał ustąpić, sprawę zgłoszono wyżej, do powiatowej sekcji kuratorium. Władze powiatowe zaś zadecydowały, by tytuł przyznać dziadkowi. Dziadek pojechał zatem do miasta odebrać nagrodę. Nie była to duża kwota. Można było za nią kupić dwa worki

nawozu. Czerwony dyplom jednak nadal wisi na honorowym miejscu w domu dziadka.

– Innym kuratorom od ręki udało się uruchomić siedemdziesiąt, osiemdziesiąt źródeł krwi. Ja tymczasem nie jestem w stanie zmobilizować pięćdziesięciu, nawet czterdziestu wsi. Jak mam spojrzeć w twarz przełożonym? – próbował perswadować kurator.

Dziadek nic nie odpowiadał. Uczniowie patrzyli na nich przez okna i drzwi, przyklejeni nosami do szyb, ich głowy z zewnątrz wyglądały jak arbuzy.

Dwaj panowie, którzy nigdy nie doczekali się tytułu wzorowego nauczyciela, również patrzyli, z dziwnym wyrazem twarzy. Chcieli podejść i zamienić parę słów z kuratorem, ale ten konsekwentnie ich ignorował.

Kurator znał tylko mojego dziadka.

Przekonywał więc dalej:

– Profesorze Ding, nie wymagam od pana nic poza tym, by poszedł pan powiedzieć mieszkańcom wioski, że sprzedaż krwi to tak naprawdę nic wielkiego. Krew jest w rzeczywistości jak źródło, z którego im więcej się czerpie, tym obficie płynie. Zaledwie parę słów. Jeden jedyny drobiazg. To co, podejmie się pan tego w imieniu kuratorium?

Dziadek w końcu wymamrotał:

– No dobrze, zobaczę, co da się zrobić.

– Wreszcie. Przecież to kwestia zaledwie kilku zdań – odpowiedział kurator.

Dziadek ponownie uderzył w gong, by zwołać wszystkich mieszkańców na zebranie na głównym placu wsi. Kurator chciał, by dziadek powiedział im parę słów o tym, że krew jest jak źródło, z którego można do woli sprzedawać wodę, a ono zawsze z powrotem się napełnia.



Dziadek stanął pod drzewem paulowni, spojrzął na czarny jak noc tłum mieszkańców i trwał tak przez dłuższą chwilę. W końcu zwrócił się do zebranych tonem niezdradzającym żadnych emocji:

– Wszyscy już są, zdaje się. W takim razie chodźcie ze mną. Pójdziemy na plażę na wschód od wsi. Coś wam pokażę.

Mieszkańcy poszli więc za nim na dawną nadrzeczną plażę. Był drugi miesiąc kalendarza księżycowego, dużo padało. Wioska Ding i wszystkie okoliczne wsie położone są w starym korycie Żółtej Rzeki. Założono je setki, a niektóre nawet tysiąc lat temu. Odkąd rzeka zmieniła bieg, plaża była wyschnięta na wiór, jedynie po deszczu zbierała się na niej woda. Tak też było tamtego dnia. Po niedawnych wiosennych ulewach pod powierzchnią nagromadziła się wilgoć. Dziadek chwycił w prawą rękę łopatę i ruszył przodem. Kurator i urzędnicy z powiatu podążali za nim. Podobnie mieszkańcy wsi. Kiedy dotarli na wilgotniejszy kawałek plaży, dziadek pomacał palcami piasek, po czym zabrał się do kopania. Po chwili dokopał się do wody. Dołek wypełniony był do połowy. Dziadek wziął do ręki jakąś starą miseczkę, która nie wiadomo skąd się tam wzięła, i nabrał nią wody z dołka. I jeszcze raz. I jeszcze. Nabierał pełnymi miseczkami. Wydawało się, że wybierze w ten sposób całą wodę. Ale gdy na moment przestał, okazało się, że poziom wody ani troszkę się nie obniżył.

Nie sposób wyczerpać źródła wody. Przeciwnie, woda napływa coraz obficie.

Dziadek odrzucił miseczkę na piasek. Wytarł ręce, spojrzął na mieszkańców wioski i powiedział donośnym głosem:

– Widzicie? Tak jest z ludzką krwią. Im więcej czerpiesz, tym obficiej płynie. Nie kończy się, ale tym obficiej płynie, im więcej się z niej czerpie.

To powiedziawszy, przeniósł wzrok na kuratora.

– Muszę wracać do szkoły zadzwonić dzwonkiem. Jeśli nie zadzwonię, dzieci nie będą wiedziały, kiedy koniec lekcji.

Kuratora najwyraźniej nie obchodziło, czy dzieci skończą lekcje, czy nie. Popatrzył na dziadka, a następnie na zgromadzony tłum mieszkańców, po czym przemówił do nich raz jeszcze, nie szczędząc gardła:

– Zrozumiano? Wody nie sposób wyczerpać ze źródła. Krwi nie sposób całej wyprzedać z żył. Krew jest jak to źródło, to fakt naukowy.

Odrząciwszy nogą leżącą na piasku miseczkę, dodał:

– Od was samych zależy, czy będziecie cierpieć głód, czy pławić się w luksusach. Czy wstąpicie na świetlaną drogę fortuny, czy będziecie tak trwać w marazmie, klepiąc biedę. Wasza wioska jest najbiedniejsza w całym powiecie. Bieda tu u was aż piszczy. Wróćcie do domów i zastanówcie się, czy wolicie bogactwo, czy biedę. Wróćcie i przemyślcie sobie. Zobaczcie, w innych powiatach ludzie dawno jak szaleni sprzedają krew, a potem budują sobie na wsiach nowe domy jeden po drugim. A u was co? Przez kilkadziesiąt lat istnienia nowych Chin, kilkadziesiąt lat pod światłym przewodnictwem partii komunistycznej, kilkadziesiąt lat życia w ustroju socjalistycznym, nie dorobiliście się niczego. Nadal mieszkać w chatach krytych strzechą.

Na tym zakończył swoją mowę i odszedł.

Dziadek też odszedł.

Mieszkańcy wioski również się rozproszyli. Wrócili do domów ze świadomością, że od nich zależy, czy będą żyć w luksusach, czy klepać biedę.

Wieczorem na dawnej plaży zrobiło się chłodno. W promieniach zachodzącego słońca piasek przybrał szkarłatny odcień przechodzący w brąz. Jak krew. Z odległych pól, znad upraw pszenicy niósł się z wiatrem świeży zapach kiełkujących zbóż, przepływając niewidzialną falą.

Gdy wszyscy sobie poszli, mój ojciec został na plaży. Trwał przy źródelku wykopanym przez dziadka. Stał tak nad dołkiem i patrzył. Popatrzył, popatrzył, aż w końcu schylił się, nabrał wody w dłoń, napił się, opłukał ręce i wybuchnął śmiechem.

Ojciec zanurzył ręce w dziurze, by przekopać się jeszcze trochę głębiej. Grajdołek zamienił się w żywe źródelko. Woda wytryskała, gulgocząc leciutko. Wydostała się z dołka i zaczęła zwilżać całą wyschniętą plażę.

Podmyła leżące na piasku pałeczki.

Pałeczki popłynęły, niesione jej nurtem, jak wierzbowe gałązki.

Dwudziestotrzyletni ojciec roześmiał się ponownie.

## 2

Dziadek położył się do łóżka po północy.

Zasnął.

Przyśnił mu się sen. We śnie wraz z nocnym wiosennym wiatrem powróciła do niego myśl o handlu krwią. Wszystkie zawilości, cały łańcuch przyczyn i skutków